

BLUSZCZ

PRENUMERATA W WARSZAWIE:
Miesięcznie kop. 60, kwartalnie rub. 1 kop. 80, półrocznie rub. 3 kop. 60, rocznie rub. 7 kop. 20.
Prenumerata na prowincyi i w Cesarstwie:
rocznie rub. 10, kwartalnie rub. 2 kop. 50.
CENA OGŁOSZEŃ: za wiersz 1-o szpaltowy nonparem lub jego miejsce „za tekstem” kop. 30; ogłoszenie zwykłe kop. 20. „Nadesłane” kop. 75, margines rb. 6. Kolumna rb. 150. Załączniki rb. 6 za tyśiąc.
CENA NUMERU POJEDYŃCZEGO KOP. 20.

**PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE
POŚWIĘCONE SPRAWOM KOBIECYM.**

Pod redakcją ZOFII SEIDLEROWEJ.

Ekspedycja główna: Nowy-Swiat 41.

Drobnych rękopisów nie zwraca się.—Tel. Red. 105-22 Tel. Adm. 220-86.

Cesarstwie Austriackiem: We Lwowie w głównej ekspedycji „Bluszczu” Pasaż Hausmana 9, kwartalnie kor. 5, na prowincyi z przes. poczt kor. 6.60.
W Krakowie: u D. E. Friedleina: kwartalnie kor. 5 na prowincyi z przesyłką pocztową kor. 6.60.
W W. Ks. Poznańskim dla abonentów „Dziennika Poznańskiego”: w Poznaniu kwartalnie 3.60 marek, z przesyłką pocztową 4.30 mk.

O Nowe Siły.

Byłoby niezmiernie ciekawą i ważną rzeczą, aby wszyscy ci, których obchodzi rozwój ruchu kobiecego w Polsce, zechcieli przyjrzeć się biegiem tych spraw w ciągu lat ostatnich i za-
stanowić się nad nimi w świetle porównania z rozwojem tych samych faktów zagranicą.

Nie ulega kwestyi, że biorąc rzeczy pod tym kątem widzenia, należałoby za miarę porównawczą przyjąć przedewszystkiem, bardzo ściśle, solidnie i poważnie obmyślaną „stosunkowość”. Nie możemy niczego u nas mierzyć na tak szeroką, jak gdzieindziej, skalę i to nie tylko z powodów finansowej, ani nawet politycznej natury.

Wielką np. siłę rozmachu agitacji w sprawie kobiecej nadaje — rozległa sfera wpływów i osiedlenia licznej rasy. Toż Anglo-Saksonki mają wspólny teren z jednego końca świata na drugi, mówiąc popularnie, ogół ludności Stanów Zjednoczonych amerykańskich jest z krwi i kości ten sam, co angielski, i agitacja sufrażystek prowadzi się jakby w jednym kraju. Mrs. Pankhurst jest u siebie tak dobrze w New-Yorku, jak w Melbourne, jak w Londynie, a p. Chapman Catt „przyjmuje” w sprawach, dotyczących międzynarodowej Ligi, w ciągu roku bieżącego na przestrzeni Londyn—Transwaal—Bombaj i Kalkutta.

Nowoczesne ulepszenia komunikacji, wielkie środki materyalne i ta, wspomniana już rozległość obszarów, zajętych przez rasę anglosaską, sprawiają, że ruch kobiecy angielsko-amerykański przoduje dotąd w świecie, że on tworzy, organizuje, prezyduje i stanowi, bo stanowić musi samą siłą rzeczy — liczebną większość.

Po angiolkach, Niemki, posiadają już drugie, ale pokażne jeszcze miejsce. I tu występuje bowiem Rzesza niemiecka, ze swoim rozległym terytoryum, swymi środkami materyal-

nemi, stworzonemi masą uczestniczek i ze swą liczebnością rasy.

Ale są i kraje inne, mniejsze, niebogate, nierozległe, gdzie jednak ruch kobiecy jako prąd specjalny, a obok niego udział kobiet w życiu społecznym i publicznym ogólnym — jest znakomicie rozwinięty, doskonale zorganizowany i chociaż nie obejmuje szerokich przestrzeni wszystkich części świata, wystarcza znakomicie na zaspokojenie potrzeb miejscowych, załatwienie własnych spraw społecznych, a nawet — po uregulowaniu ich — na wypowiedzenie swego słowa i zajęcie swego stanowiska w ruchu wszechświatowym.

I ten stan rzeczy panuje nawet w krajach bez porównania od naszego uboższych — jak np. Półwysep Skandynawski, a także w społeczeństwach, tak samo pozbawionych samoistnego bytu politycznego — np. w Finlandyi. Dlaczego tylko u nas warunki bytu układają się zawsze inaczej?

Nie możemy być tak, jak w Szwecyi, zapraszane przez kluby ministerjalne, ani nawet, na razie, wybierane do rad miejskich — to jasne, natomiast możemy mieć i mamy Stowarzyszenia czysto kobiece i społeczne. Dlaczego więc takie Stowarzyszenie im. Fryderyki Bremer w Sztokholmie liczy *sto tysięcy* członkiń, a nasze stowarzyszenia kobiece liczą *członkinie* na setki?

Nie możemy, jak p. Chapman Catt, objechać pół świata — organizując w grudniu kobiety burskie, w lutym — kolonistki angielskie w Indjach — ale możemy mieć oddziały stowarzyszeń warszawskich w Płocku, Radomiu i Sieradzu i możemy tam jeździć na odczyty, dyskusye, itp. dlaczego nie ruszamy tej pracy?

Nie będziemy brać udziału w organizacji wielkiego biura prasowego informacyjnego między Londynem a Melbourne, ale możemy informować stale o pracy stowarzyszeń kobiecych w Warszawie wszystkie pisma prowincjonalne — dlaczego nie zorganizowałyśmy dotąd tej elementarnej łączności z resztą kraju? Z drugiej

strony dlaczego nie informujemy o sobie prasy zagranicznej? Dlaczego pisma poświęcone sprawom kobiecym mają korespondencye z Bułgarią, Grecyi, i Węgier — a nie mają ich z Polski? Dlaczego ma ich tak mało ten, specjalnie sprawom zagranicznym poświęcony stały, kongres spraw kobiecych w Paryżu, skąd niestrudzona pionierka imienia kobiet polskich w Europie — Orka — napróżno nieraz kołaczę o sprawozdania, wieści, nowiny?

Nie możemy mieć wielkich gmachów własnych, kraciowych bibliotek, banków, możemy jednak mieć kooperatywę, kasy, biura pośrednictwa. A powinniśmy je mieć, w porównaniu do tamtych wielkich i bogatych społeczeństw, w stosunku np. dziesięciu do tysiąca. Ale dlaczego mamy je w stosunku jedynki, czasem połowy, a czasem zera do tysiąca?

Gdy pomyślimy nad tem, zaczynamy zwykle potem wyrzekać na nasze lenistwo, niezaradność i naszą obojętność społeczną.

Zapewne, że stanowią one tu przyczyny, ale wogóle przyczyn jest bardzo dużo i bardzo złożonych — nadto 'przyczyny' te 'dzielą się na pośrednie i bezpośrednie.

Otóż jedną z bezpośrednich, bardzo ważnych, jedną z tych, nad któremi chciałabym dziś za-
stanowić się specjalnie, jest ta, o której zwykle niewiele się mówi i stosunkowo najmniej przywiązuje do niej wagi.

A przecież jest to rzecz najważniejsza na świecie i wszędzie najważniejsza.

Zupełnie zwykły, elementarny brak po prostu pieniędzy.

Kto pisze korespondencye, utrzymuje stosunki zewnętrzne, kontakt ze światem, kto informuje? Sekretarki płatne, lub wreszcie osoby zamożne, które czas swój poświęcać temu mogą. Gdzie szukać u nas zarówno jednych, jak drugich? przeważna ilość stowarzyszeń niema sekretaryatu lub ma dorywczy — honorowy.

Jak zakładać kasy, jak urządzać wyjazdy na prowincję i naodwrot zjazdu w centrum życia społecznego, jak organizować kasy, odczyty, itp. bez pieniędzy?

A cóż robić można za *kilkaset*, wyraźnie kilkaset rubli rocznie, zebranych z wielkim trudem od stu lub stu kilkunastu stowarzyszonych?

I na tem utyka, na tem stanąć musi każda, najpiękniej, najlepiej pomyślana i zorganizowana robota!

Brak pieniędzy.

Byłby niezawodny na to środek — niech każde stowarzyszenie liczy nie sto, a tysiąc członków — zapewne, ale tu jest to samo, co z kapitałami — najwięksi kapitaliści są przesądni — utrzymują, że pieniądze „ciągną” do pieniędzy. Otóż ludzie „ciągną” do ludzi — do zbiorowisk licznych, dobrze zaopatrzonych, no, i dających większą jakąś sumę korzyści.

Dlatego to każde stowarzyszenie, każda instytucja mieć musi kapitał zakładowy, poważny, nietykalny, gwarantujący spore odsetki; pozwalający zaprowadzać zmiany, ulepszenia, działać poprostu — zapewniający swobodę ruchu, bez względu na trochę mniejszy lub większy napływ członków w danym roku.

Tego kapitału nie mają nasze stowarzyszenia kobiece — a z tym brakiem nie mogą się rozwijać. On jest przyczyną np., że stowarzyszenia, mając prawie wszystkie w ustawach prawo zakładania szkół, żadnych szkół jednakże nie prowadzą, a oprócz tego nie mają ani kas, ani bibliotek, ani domów własnych, kooperatyw, itd. itd. Z tym głodowym funduszem, jakim się dotąd rozporządza, można istotnie tylko urządzać odczyty, aby zebrawszy kilkadziesiąt rubli — opłacić niemi najkonieczniejsze potrzeby — jak lokal, telefon, służbę, itp.

Samemi jednak odczytami nie sposób przyciągnąć znacznej liczby członków, którzyby powiększyli w dalszym ciągu fundusze i nie można stworzyć niczego trwałego.

Powstała np. przed dwoma laty w jednym ze stowarzyszeń kobiecych myśl założenia szkoły dla dziewcząt, pracownic handlowych — zebranie członków podjęło ją z zapalem, rozwinęło agitację, zbierano się, i... projekt upadł, bo nie było za co rozpocząć bodaj racjonalnej, wstępnej akcji agitacyjnej.

Obok zaś tego braku pieniędzy występuje druga wada, rodzaj pośredniej przyczyny pierw-

szej — brak wszelkiego udziału w pracy kobiet zamożnych — nie liczących się z funduszami i z czasem.

Kto z nas prowadzi stowarzyszenia? Garstka osób przepracowanych do ostatnich granic odkradających dla stowarzyszenia godziny wypoczynku, i w dodatku niezamożnych, zmuszonych do oszczędzania każdego grosza.

I nigdzie niema tego w tym stopniu, w daleko bardziej kulturalnych, w bezporównania lepiej, gruntowniej zdemokratyzowanych społeczeństwach, gdzie istotnie liczba uczestniczek tworzy, przy drobnych nawet składkach, poważny obrót i wpływ pieniężny — jeszcze znajdują się kobiety zamożne, ofiarowujące instytucjom i stowarzyszeniom znaczniejsze wkłady, oraz czas swój, swoją pracę. U nas zaś, gdzie na masę liczyć jeszcze do tego stopnia nie możemy, gdzie instynkt społecznego zrzeszania się jest niezmiernie mało rozwinięty, gdzie faktycznie ludziom trzeba dać coś — jakąś konkretną, dotykającą korzyść, aby ich dopiero tą korzyścią do stowarzyszenia zachęcić i przyciągnąć. U nas niema prawie zupełnie w działalności stowarzyszeniowej kobiet zamożnych, których czas i fundusze wykorzystałby można społecznie.

Przybiegające na zebrania z lekcji, z biur, z redakcji, urzędniczek, nauczycielki, dziennikarki — to nasze zarządy, to siły organizacyjne i pracownice stowarzyszeń. One w tych chwilach przemęczenia, po całodiennej pracy, wśród nawału nieraz trosk, układają plan życia zrzeszenia, one w zdobytych sztuką momentach wolnych załatwiają sprawy formalne u władz, piszą wzmianki do dzienników, rozpisują lub hektografują, dla oszczędności, aby nie drukować, zawiadomienia, odezwy i t. p.

Jest to bez przesady syzyfowa praca, są to ciężkie roboty społeczne, należy się od nas całe uznanie tym mozolnym wysiłkom — ale system taki jest wadliwy — nie może on trwać długo, a dowodem tego jest duży zanik roboty. Po przejściu pierwszej gorączki, pierwszego zapалу, ludzie w tych warunkach muszą pracować źle i nieprodukcyjnie.

Jak kobiety takie mogą myśleć o utrzymaniu kontaktu z ruchem kobiecym zagranicą, czytaniu pism, broszur, odbieraniu i wygłaszaniu korespondencji, o podróżach na zjazdy, a z drugiej strony o organizowaniu prowincji, kupowaniu i zaprowadzaniu bibliotek, urządz-

niu wielkich lokali klubowych dla stowarzyszenia, organizowaniu wykładów, szkół, biur informacyjnych i pośrednictwa, itp.

Jedynym sposobem stworzenia takiej pracy, byłoby zaagitowanie, odezwanie się, wciągnięcie do działalności w zrzeszeniach zastępu kobiet zamożnych i mających więcej wolnego czasu.

Chciałabym tu zostać dobrze zrozumianą — mianowicie, nie chodzi mi i chodzić nie może o siły martwe, o „panie” i „damy”, bawiące się tylko, lub osoby tak zajęte domem i obowiązkami rodzinnymi, że na pracę społeczną ani czasu, ani myśli nie mają i mieć nie chcą. Nie. O tych sprawach zdarzało mi się już niejednokrotnie mówić na tem miejscu i zawsze pozostanę przy zdaniu, że osób mało uświadomionych, obojętnych, lub niechętnych sprawie kobiecej i pracy społecznej nie należy do niej ciągnąć — nie oto chodzi, ale są jeszcze całe zastępy kobiet rozumnych, wykształconych, interesujących się życiem społecznym, kobiet, mających czas wolny do rozporządzenia, a które tylko, jedne przez nieśmiałość, drugie przez pewne niewyrobienie, niezetknięcie się, brak sposobności, brak dostępu łatwego — przez dobrych znajomych, powstrzymują się od owocnej pracy. Do tych należy zapukać. Wyszukać je, namówić, zachęcić, obznajmić, zbliżyć do stowarzyszeń. To potrafią właśnie tak znakomicie robić sufrażystki — to jednanie sobie ludzi, wciąganie coraz większych zastępów do swej pracy, zyskiwanie coraz szerszych, i głębiej sięgających kręgów — to stanowi ich siłę i potęgę.

Nad tą kwestyą powinny się zastanowić, w tym kierunku rozwinąć energiczną akcję dotychczasowe pracownice stowarzyszeń — czas jest potemu najodpowiedniejszy. Nadchodzą z końcem zimy wybory nowych zarządów, należy postarać się, aby do nich weszły naprawdę członkinie nowe. Nie można oczywiście dlatego robić gwałtownych zmian, nie wolno zacząć roboty tym, którzy mają już doświadczenie — porzucać, lecz trzeba poważnie, planowo, energicznie, przystąpić do wyszukania i wyrobienia sił do dalszej pracy, do zjednania większego zastępu pracownic, uposażonych w możliwie najlepsze do pracy tej warunki.

Tą tylko drogą poprowadzić się da normalny rozwój stowarzyszeń — wtedy wejść mogą one w fazę wzmożonej, szerokiej akcji społecznej.

Natalia Jastrzębska.

WIKTOR GOMULICKI

9

X.

Ale tobie dla wywołania wizji nawet pieśń była zbyt cicha. Jeden akord — ba! jedna odezwana nuta — wystarczały do zapełnienia duszy twej obrazami.

Za sprawą jednego, przygodnie usłyszanego dźwięku, bywałeś to smutny, to wesoły, życia i energii pełny, albo też zniechęcony i oswiały.

Myślę, że dłuższem, stałem działaniem smutnej, przygnębiającej muzyki możnaby było w tobie iskrę życia przytłumić i — zgasić...

□□□□□□□□□□□□□□□□

C I E Ń.

Dzwony — a z kilku wież kościelnych rozlegało się tam często ich grzmienie — były w twe serce, jak młotem. Uczuwałeś niemal ból fizyczny od uderzania rozbijanych przez nie fal powietrznych.

Nawet muzyka fortepianowa, zwłaszcza wszelkie jej *forta* i *fortissima*, były dla ciebie podniętą zbyt silną, raczej przykrą, niż przyjemną. Jęklowych tonów skrzypiec tylko zdawałaś mogłaś słuchać; zbyt bliskie, przeszywały cię dosłownie cienkami, przenikliwymi ostrzami.

Jakże potężnie i przygnębiająco działał

(HISTORIA DUSZY DZIECIĘCEJ).

na ciebie grzmot organowy! Wszystko, coś z katechizmu i kazań fanatycznych zakonników wiedział o „sądzie ostatecznym”, muzyka organów stawiała ci przed oczy. Skóra ci cierpiała, włosy jeżyły się na głowie. Drżałeś. Ileż-bys dał za to, żeby ci przed tym okropnym potopem dźwięków uciec pozwolono...

Natomiast ucho twoje chwyciło wiele dźwięków, które dla innych nie istnieją — na przykład szmer mrowisk, szelest skrzydeł lecącego ptaka, chrzęst igieł sosnowych, gdy po nich owad pełźnie.

Było w tobie wiele z człowieka pierwotnego. Rozumiałeś mowę wichru, drzewa, fali. Powietrze, dla innych ciche, dla ciebie bywało gwaru pełne.

Nocami budziło cię cykanie przyczajonego w szczelinie świerszczyka. Jego monotonicznych, lękliwych, przerywanych szeptów słuchałeś, niby jakiejś długiej, smutnej opowieści. Było ci, jakbyś obcował z duchami ludzi dawno zmarłych, jakbyś przeżywał myślą jakieś ponure, odwieczne, w mrokach stuleci zatopione, historie.

To, co nazywamy ciszą, w przyrodzie nie istnieje. Cisza to śmierć, a przyroda jest życiem. Gdyby nawet na ziemi wymarło do szczętu życie, gdyby cała grobem się stała, jeszczeby echa nieśmiertelnego życia spływały do niej z wysoka dźwiękami wiekistej „muzyki sfer”.

Więcej słyszy dziecko, niż człowiek dojrzały; prostak, niż mędrzec; tak zwany „dziki”, niż wychowaniec cieplarni cywilizacyjnych.

Twoje ucho było wyjątkowo na głosy przyrody czujne, boś żył blisko z przyrodą, boś był jej dzieckiem, kochającym i kochanym. Więc zwierzała ci ta matka najlepsza wiele tajemnic, które dla innych były i na zawsze już będą zakryte. Stąd pochodziła wielka żywość twego umysłu, i stąd płynie żywość wielu — nie wszystkich — dzieci w twym wieku. Od świata zewnętrznego — ściślej mówiąc: od duszy świata, w przyrodzie utajonej — otrzymujecie co chwila tysiące wrażeń, znaków, zaczepki, które umysłowi waszemu na chwilę spocząć nie dają. Życie, prędzej lub później, tę wrażliwość przytępi. I dopiero po takim przytępieniu i częściowym zdrewnieniu, nabierzecie znamion „człowieka uspołecznionego”, który pod pewnymi względami przypomina — tresowane zwierzę...

Niestychanie rzadkie jednostki, które okiełnać się i duchowo znieprawić nie dadzą, brużdżą w ogólnym ładzie, tworząc nieliczną, odrębną, pozaspołeczną grupę, coś nakształ moralnych cyganów, lub parjasów. Z nich wyrastają poeci i artyści, oraz wielcy reformatorowie ludzkości. Ostatni dlatego właśnie na nowe, lepsze wiodą ją tory, do życia otaczającego ich nie byli zastawiani, i w niezadowoleniu szukali odmiany.

Tyś do tej grupy należał. Ale Bóg okazał się dla ciebie łaskawym, zabierając cię z ziemi z nienaruszonym skarbem myśli lotnych i marzeń czarownych. Rozkwitły one może na innej, myślim i marzeniom przyjaźniejszej gwiazdzie.

(D. c. n.)

□□□□□□□□□□

KOLEŻANKA STEFA.

Drzwi uchyliły się cicho. Czarna sylwetka Edwarda, wydłużona i dziwnie płaska w księżycu, jak cień chiński, przeniknęła przez pokój.

— Koleżanko Stefo, jutro wasz odczyt, nie odłożycie go chyba po raz drugi?... Przyszłym, boście mi mówili kiedyś dawniej, że chcielibyście go powiedzieć przedemną...

— Odczyt... jutro?... prawda... nie myślała o tem... Odłożyć znowu, jak trzy tygodnie temu?... Niepodobna... trzeba zebrać siły...

Spojrzała na Edwarda.

On tutaj... ten obcy, dziwny pan w smokingu, z butonierką na piersiach?...

— Siadźcie!...

Wskazała krzesło obok siebie.

— Dobrze, żeście mi przypomnieli. Jutro już... Nie zdawałam sobie sprawy... Myślałam, że to kiedyś, kiedyś... a przecież już tylko jedna noc i jeden dzień... Dziękuję wam, kolego, ale wiecie?...

Zatrzymała się, urwała. Zbiedzonym wzrokiem wodziła po nim, jakgdyby chcąc doszukać się w tym wykwinnym modnym panu choć cząstki dawnego burego Eda, krakowskiego hama, którego wypolerować, musiała oglądzić, aby mózdz z nim obcować.

Siedział zakłopotany, zmieszany, obcy, ale w oczach tliły się jakieś dawne dobre isierki. Jedna z nich objęła Stefę słodką pieśczęcią i wlała w nią dziwny spokój ukojenia.

— Wiecie, przeczytajcie wy mi co lepiej... Ja... dziś... doprawdy... nie mogę... Wolę słuchać... Pamiętacie?... Dawniej, ile razy miałam przemawiać na naszych wiecach, zawsze przychodziliście przed tem i czytaliście mi głośno. To tak uspakajało, tak pozwalało się skupić...

Pochylił głowę, jak winowajca.

— Tak, prawda, pamiętam...

Padło kłopotliwe, dławiące milczenie, jedno z tych, w którym gubią się na zawsze albo odnajdują poróżnione dusze...

Stefa wstała, zapaliła światło, wzięła z biurka niewielką, w perłowy safian oprawną książkę: „Genezis z ducha”, ostatni dar ojca — i położyła ją przed Edwardem.

Spojrzał na tytuł i uśmiechnął się blade.

— Czytaliśmy to w twojej budzie całą jedną długą noc; pamiętasz?... Przyniósł Słoń na kilkanaście godzin i rano trzeba było oddać...

— Tak, prawda, pamiętam.

Znowu tępe, ołowiane milczenie.

Stefa siadła w otwartym oknie. Maj ciepły powiewem muskał jej czoło.

— Czytajcie, kolego!...

„Na skałach oceanowych postawiłeś mnie Boże, abym przypomniął wiekowe dzieje ducha mego...”

Ten głos, jak cichy, ciepły dzwon...

Skryła twarz w ręce i słuchała nie wyrazów, lecz melodyjnych, równomiernych skandowań, niby fali metalu płynnego, która wzbijała się i opadała w harmonijnym rytmie. Kojarzyła myślą nie pojęcia dźwiękowe, lecz echa wspomnień.

Wczoraj i dziś: pył miodny i piołun...

On czyta, jego głos...

Nigdy dotąd, słuchając go, nie uprzytomniała sobie, że Edward i ona to dwie siły, dwa duchy, dwie zjawy fizyczne, dwie jednostki same w sobie...

Trzeba było oderwać go od niej, żeby targnęło ją uświadomienie odrębności...

Ten głos: to już coś po za nią, coś, co nigdy nie wróci, nie osiadzie w niej tem poczuciem zespołu, który... teraz to wie dopiero... był radością życia...

Wczoraj i dziś...

Podniosła głowę; wpatrzyła się w twarz Edwarda z tą skupioną uwagą, z jaką pierwszy raz bada się własne odbicie na tafli szkła ciemnego.

Te czarne włosy.

Dawniej, zwichrzone bezładnie; teraz — pod misternem dotknięciem fryzjerskiego żelazka —

gładkie, spokojne, prawidłowo — jak kazała moda — z boku przedzielone...

To czoło jasne, na które niegdyś opadała, rozgarniana co chwila, czupryna... Nos prosty w osadzie, a potem — lekko wygięty, jak dziób młodego orlęcia... Matowa cera, usta, łagodnie wykrojone, a jednak... w kątach warg zacięte... usta, których dotknięcie musi budzić dreszcz rozkoszy...

Przyczać się do nich, skrać pierwszy pocałunek i... oszaleć ze szczęścia...

Wiatr musnął jej wargi słodką, cichą pieśczęcią.

Zerwała się, przetarła oczy.

— Co to znaczy?... Gdzie jestem?...

Doznała wrażenia człowieka, nagle ze snu zbudzonego.

Co się jej roilo?... Co za majaki obsiadły mózg szalejący?...

Jakiś zdławiony ton duszy porwał się w niej buntem.

Chciała zdeptać to, co dotąd żłobiło wewnętrzne twierdze samonakazów i kreśliło proste, równe linie życia: chciała zdeptać, zdusić ambicję, dumę i godność własną...

Opadał tępy, ołowiany bezwład; wracało trzeźwe uświadomienie i ten odruchowy, nagły poryw, który poprzedzał w niej zawsze decydujące szybkie postanowienia i akty silnej woli.

„W skałach więc już, o Panie, leży Duch, jako posąg doskonałej piękności, uśpiony jeszcze, ale już przygotowany, na człowieczeństwo formy...” — czytał Edward.

— Dosyć, kolego. Teraz pogadajmy...

Wskazała mu niski fotelik pod oknem, tuż przy sobie.

Chciała go zapytać, czy zdaje sobie sprawę z obecnego życia swego?... Czy odchodzi od wszystkiego, co dawne, dobrowolnie, z jasnym uświadomieniem nowych dróg i celów, z trzeźwą pewnością, że nie pożałuje nigdy gwałtownego zwrotu na prawo, z wiarą, że będzie się czuł dobrze w świeżym, obcym środowisku, że mary przeszłości nie obsiadą go nigdy żalem za bezpowrotną godziną; czy też jest jak lunatyk, który w szalonym odruchu zawisł nad przepaściami?

Chciała podać mu rękę, jak siostra, wyzwolić go od przemocy, jeżeli wpadł w nią bezwiednie, dźwignąć, jeżeli sam nie miał siły...

Nie wolno jej odejść od niego bez ostatnich słów ostrzeżenia lub... pożegnania. Nie mogli rozstać się, jak wrogowie...

Czuje w sobie powracającą energię. — Zniknął tępy bezwład. Wie: jutro już stanie do pracy, jak zawsze. Nie ma prawa zwlekać. Jak zębate koło wielkiej, w ruch wprowadzonej maszyny, dźwiga na sobie ciężar drobniejszych kół, kółeczek. Jeżeli zatrzyma się, przestaną wirować i one, osadzając na martwym punkcie olbrzymie cielsko żelaznego potwora.

Niemą ludz niezastąpionych, ale... wstrzymana w biegu jednostka zmienia rytm karawany...

Jest teraz już spokojna o siebie, ale on... co z nim będzie?...

Odsunął książkę, przetarł oczy i wstał powoli.

(D. c. n.)

C. Walewska.

□□□□□□□□□□

TADEUSZ KONCZYŃSKI.

ZAWROTNE DROGI.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA.

XVI.

Wróciła do Paryża.

Ostatnie przejścia zmieniły jej naturę. Stała się zamknięta i czujna. Pozorny spokój mógł nawet mamić postronnych, że życie jej płynie gładko i szczęśliwie. Uśmiech, który czasem zjawiał się na jej ustach, ujmował ludzi — ale to już nie była dawna Wanda.

Na dnie najgłębszym jej istoty ukrył się ból niezniszczalny. Na taki ból ani nowe wrażenia, ani czas, ani siła woli nie mają żadnego wpływu. On staje się jakby nowym organem duszy i wrażliwości, przez który przepływają wszystkie myśli, wszystkie spostrzeżenia i wszystkie uczucia, zanim zdołają się zapaść w tajnie mózgu i serca, i od którego nabierają swej barwy posępnej i mglistej...

Dla takiej istoty świat cały ciemnieje, choć słońce równie mocno świeci, jak dawniej, i równie silnie grzeje jak dawniej.

O tem, co zaszło, nie było nawet mowy między Wandą i Wańkowskim. On nigdy nie potrafił o swą ucieczkę z Wenecyi, ona zaś nie robiła mu o to żadnych wymówek, ale też zupełnie nie zwierzała mu się z tego, co przeżyła i jakie w jej duszy zaszły zmiany.

Pozornie wszystko było po dawnemu.

Wanda zaglądała codziennie do jego pracowni, by śledzić postępy jego prac końcowych i podziwiać jego wytrwałość — częściej jednak godzinami całymi siadywała w otwartym oknie z oczami nieruchomo utkwionymi w tafli szarej Sekwany.

W takich chwilach przyczajony ból wypełzał z głębi jej istoty i siadał na rzesach, wstrząsając powiekami, z pod których niekiedy wyrwała się gruba, ciężka łza i spłoszona uciekała chyżo wzdłuż twarzy na suknę.

Czasem znów poruszyły się zaciśnięte zwykle wargi i po ich spłowiałych wiśniowych barwach przemikało się gorączkowo szeptane słowo:

— Prawdy... prawdy...

Czuła instynktownie, że los jej gna ku ostatecznemu kresowi, że olbrzymi łuk jej pędu, wygięty ku górze, w świat ideałów, porywających hasła i krzyku duszy — odginał się gwałtownie w dół i że jest blisko prochu pospolitości, coraz bliżej, tak już blisko, jak jeszcze nigdy nie była.

Dawniej miała przed sobą marzenia i sny. Teraz marzenia i sny były za nią.

— Prawdy, prawdy — szeptał ból, który wślizgiwał się już pod serce i podpierał je, uciskał i kęsał.

Bywało, iż chwilami nie mogła pochwycić ustami oddechu. Nagły żal, jak błyskawiczny sęp zaciskał jej gardło szponami i dusił. W oczach jej mieniły się barwy — przez otwarte okno, w którym siedziała na trzecim piętrze, szedł na nią krzyk ze świata:

— Wszystko zniszczone, wszystko, wszystko...

Zrywała się wówczas z krzesła i padała twarzą na wezglowie sofy i chustką tamowała

szloch, który chciał wybuchnąć. Przemocą fizyczną dławila go, bo czuła, że gdyby ten szloch wziął nad nią panowanie, musiałaby stać się rzecz ostateczna i bezwzględna.

Tego jednego jeszcze nie łaknęła. Serce, przywiązane do Wańkowskiego, dusza, zaprzęgnięta do rydwanu jej obumarłych marzeń, wstyd, hamujący wszelką myśl o zmianie — stały na straży jej kroków.

Realna moc życia, w której ogniu przesuwala się natura Wandy w ostatnich miesiącach, miała jeszcze dla niej urok i swój majestat i swoje prawa, przed którymi korzyła się, mimo wszystkie doznane zawody.

Lecz ból zaczajony pracował dalej bez odpoczynku i wierał się dzień po dniu, noc po nocy w coraz inne dziedziny jej myśli i wzruszeń i podcinał i przegryzał korzonki wszystkich białych, upajających kwiatów jej marzeń...

Dusza jej zwolna zamieniała się w pustynię...

Na wargach jej nieustannie budziło się pragnienie, które miało tylko jeden dźwięk:

— Prawdy, prawdy —

W przymkniętych jej oczach coraz mocniej płonął gorączkowy ogień, ręce coraz częściej rwały ażury bluzki — coraz bardziej unikała ludzi i szukała samotności.

Pukanie do drzwi.

Nie odpowiadała nic. Było jej wszystko jedno, kto wejdzie i z jaką wieścią. Na wszystko, co przychodziło do niej z zewnętrznego świata, była tępą i obojętną.

Drzwi pchnięte ostrożnie się otwarły. Wszedł Łętowski.

Uklonił się.

Odpowiedziała mu sztywnym pochyleniem głowy.

Usiadł spokojny i zimny, jakby bytność jego w pokoju Wandy była zwykłą, codzienną. Długie milczenie.

Lecz Łętowski pozostał niezmieszany.

Wanda czuła jego wzrok na sobie: silny i ostry.

Nakoniec odezwał się:

— Spodziewałem się, że rozmowy nasze, które prowadziliśmy ze sobą przed kilku miesiącami, upoważniają mnie do tego, abym pomówił z panią o rzeczach ważnych.

Podniosła głowę — spojrzała mu sennie w oczy.

— Sądziłem — ciągnął dalej — że pani sama mię wezwie.

Powieki nad jej źrenicami zatrzepotały się, lecz znowu znieruchomiały.

— Pani mnie nie rozumie?

— Nie.

— Szkoda, choć tego również się spodziewałem. W takim stanie psychicznym, w jakim pani obecnie się znajduje, lepiej jest nic nie rozumieć, niż wszystko rozumieć.

— Haha!..

— Pani sztuczny śmiech tylko potwierdza moje słowa. Tak, spodziewałem się tego wszystkiego.

— Czego? — zapytała przeciągle, prawie ostro.

Łętowski odchylił w bok głowę, jakby nie zwracał na nią uwagi, patrzył przez jakiś czas w okno i dopiero po chwili powoli zwrócił na nią swoje stalowe źrenice.

Z gardła jego wybiegły suche, twarde słowa:

— Ruina... wszak tak?

Wstrząsnęła się do głębi. Przeraziła się tych dźwięków, które tyle razy szalały w jej mózgu, lecz które teraz wymówiły usta obce.

Jej tajemnica najskrytsza nie była dla niego tajemnicą.

Chciała zaprotestować.

Lecz kiedy wzrok jej skrzyżował się z jego wzrokiem, wargi jej rozpadły się w niemym ruchu i zamiast słów — tylko jęk wydarł się z jej gardła.

— Przeczuwałem to. Taka kobieta, jak pani, przez to przejść musi. Im pani wyżej mierzyła, tem pani bardziej musi zato płacić żywym cierpieniem. Musi. Załamała się pani fatalnie na swej drodze i bez ratunku.

Wanda zwiesiła głowę. Nie miała nic na swoją obronę. Łętowski czytał w jej duszy.

On zaś wstał, zbliżył się do niej, pochylił nad nią i zniżonym głosem rzekł równie zimno i spokojnie jak przedtem:

— Jest tylko jeden ratunek.

Ukryła twarz w dłoniach. Zapomniała, że stoi przed nią człowiek, którego instynktownie zawsze się bała, i jakby sama z sobą i ze swym rozpaczliwym bólem, prawie głośno powtarzała:

— Nie ma, nie ma żadnego.

— Jest jeden tylko — powtórzył z naciśnięciem.

Płacz był jej odpowiedzią.

Zatem on pochylił się nad nią jeszcze bardziej i rzucił jej w uszy dwa twarde, straszne słowa: — *Jego rzucić.*

Jak uderzona obuchem zachwiała się, lecz równocześnie wróciła jej pełna przytomność myśli.

Zerwała się z krzesła, spojrzała na niego z dumą i gniewem i odpowiedziała mu gwałtownie:

— Pan nie masz prawa mówić do mnie w ten sposób. Pańska śmiałość względem mnie przekracza wszelkie granice.

— Tak — oświadczył z uśmiechem ironicznym — granice konwenansu.

Rzuciła mu wzgardliwe pytanie:

— Pańskie życzenie?...

— Żadne.

— A więc?...

— A więc, powtarzam, co rzekłem — mówił niezmieszany, przewlekając umyślnie słowa — trzeba go rzucić, pani Wando. To zapalony rzeźbiarz, przy którym pani nigdy nie ogrzeje swego talentu.

— Ja nie mam talentu.

— Pani ma talent wielki...

— Pan kłamie...

— W jakim celu?

— Nie wiem, ale to czuję, że pan kłamie! A może... hahaha! — może pan kocha się we mnie... hahaha!.. i dlatego... hahaha!.. nareszcie odgadłam pańskie intencje...

(D. c. n.)

□□□□□□□□

Z bieżących wystaw.

Krajobraz Polski.

Krajobraz jest obliczem ziemi, które może posiadać ogromną skalę wyrazu; tak samo, jak twarz ludzka, odzwierciedlać może on radość i pogodę, grozę i smutek, tęsknicę i melancholię. Odrębny więc charakter posiada krajobraz każdego kraju, nieuchwytnymi a silnymi nićmi z duszą jego mieszkańców związany. Tajemne te więzy sprawiają, iż kochamy najślimiej rodzimy nasz krajobraz, który najwyraźniej do nas przemawia, który wywołuje wi-brację, zgodną ze strunami serca naszego; jest on nam drogi, bo bliski, bo nasz, dziwnie dla nas zrozumiały i piękny.

Do malowniczych nie należy nasz krajobraz, a posiada jednak swe specjalne uroki i czary, które odczuwamy tem silniej, im dłużej jesteśmy pozbawieni jego widoku.

Zresztą krajobraz nasz jest bardzo urozmaicony i niejednostajny; inaczej przedstawia on się na równinach mazowieckich, inaczej na mozarach i w lasach Polesia, inaczej zaś na górzystym Podhalu, lub też na piaszczystym, a pięknym Kaszubskim brzegu.

Szczęśliwą też niezmiennie myśl powzięło nasze Towarzystwo Krajoznawcze, gdy postanowiło zobrazować naszą przyrodę na specjalnej wystawie, odzwierciedlającej Krajobraz polski.

Pod powyższą nazwą mieści się ona w gościnnych salonach Ratusza, gdzie przez cały marzec daje możliwość przypomnienia sobie, różnych okolic naszego kraju, porównania ich charakteru; sądzić bowiem należy, iż niewiele będzie osób, dla których stać się ona może również źródłem poznania własnego kraju, krórego badanie jest wszak naszym powszechnym obowiązkiem.

Krajobraz polski na wystawie jest przedstawiony dwójakim sposobem: 1-o w szeregu dzieł malarskich najwybitniejszych pejzażystów polskich; 2-o w wielkiej ilości zdjęć fotograficznych, odtwarzających przyrodę naszego kraju zarówno ze strony naukowej, jak też i estetycznej. Artyści zatem dają nam syntezę natury, a fotografowie jej analizę, co razem składa się na wyczerpującą i pełną całość.

Dział malarski, obejmujący około stu płócien, daje nam dosyć pełny obraz rozwoju naszej twórczości pejzażowej; sięga on bowiem niemal do pierwocin istotnie polskiego pejzażu, odtwarzanego przez Szermentowskiego, Schouppę'go, Gersona, Brzozowskiego i następnie odzwierciedla wszystkie dalsze fazy rozwoju tego działu sztuki aż do współczesnych naszych młodych artystów.

Po raz pierwszy bodaj u nas uczynioną została próba wystawiania szeregu dzieł sztuki z jednego specjalnego działu malarstwa, w danym wypadku krajobrazowego, i eksperyment ten okazał się zupełnie szczęśliwie pomyślanym.

Zgrupowane w ten sposób pejzaże podnoszą wzajemnie swe zalety, a porównywanie różnie indywidualnych w zapatrywaniu się na pewien motyw, kilku poszczególnych artystów, daje rezultat ciekawy i pouczający.

Przy rozwieszaniu obrazów na danej wystawie komitet starał się zachować porządek terytoryalny; w ten sposób oglądać możemy, oddzielnie grupy dzieł artystów, odtwarzających przyrodę danej części naszego kraju, z jej charakterystycznymi właściwościami oraz ze specyficznym nastrojem.

Najbogaciej może reprezentowane jest Mazowsze, gdzie króluje niezrównany mistrz Józef Chełmoński ze swą wspaniałą „Wiosną” i „Jesienią”; podziw wzbudza tu Szermentowskiego mało znany „Krajobraz z kościołem”, przykuwa oko „Z nad Wisły” Aleksandra Gierzyńskiego. Dalej imponuje niezrównanym oświeceniem i życiem „Orka”, Wyczółkowskiego, znaczy się zajmującą sylwetą „Młyn” Rapackiego. Rozległą dal mazowieckiej płaszczyny widzimy w „Dolinie rzeki Białki”. Nałęcza, barwnymi kwiatami poprzątkane są łany „Żyta” Stankiewiczówny. Chałupy nasze wiejskie ze złotymi słonecznikami dokoła odtwarza też Stankiewiczówna, Bukowski, Biske, Dzierzbicki i Lasocki; wspaniałe okazy naszych drzew daje Fałat i Masłowski.

Na zasadniczą melancholię mazowieckich równin kładą zagrody wiejskie pogodną, weseleszą nutę; obok, jakby dla podkreślenia kontrastu i różnorodności naszej przyrody, znajdujemy pyszne fragmenty górskie malownicze, urozmaicone, imponujące chwilami, groźne. Widzimy tu „Szczyty górskie”, „Czarny Staw pod Zawratem”, „Krajobraz tatrzański” Gersona; „Widok tatrzański” Feliksa Brzozowskiego; „Krajobraz górski” Alfreda Schouppę'go. Tyle zgromadzono tu z utworów starszego pokolenia malarzy, a obok nich świetnie się znaczą nasi współcześni. Więc Wyczółkowskiego pyszne „Morskie oko”; niezrównany fragment „Z Tatr” Witkiewicza; nastrojowa „Zima w Poroninie” Ślewińskiego, malownicze „Szczyty Pienin” Nałęcza; wreszcie tak już dziś rzadka a piękna „Limba nad Morskim Okiem” Ćwiklińskiego i tajemnicze „Wnętrze lasu w Tatrach” Czarnockiego—dzieła te dają nam obraz najpiękniejszych bodaj i najbardziej malowniczych okolic naszego kraju.

Dalej widzimy „Motyw z Krakowskiego”, odtworzony przez Tadeusza Noskowskiego, „Samborsk w Galicyi” prof. Mehofera, „Zagrodę wiejską” Wyspiańskiego; „Z pod Bronowic” Włodzimierza Tetmajera”; „Dolinę Prądnika” Trzebińskiego, olbrzymią, 11 łokci długą, ogromnie dokładną panoramę Ojcowską ze szczytu Kurytanii Waroczewskiego; dalej typowe motywy z wyżyny Miechowskiej koło Raclawic M. Wawrzeńckiego, który też dał bardzo ciekawe, prastare „Uroczysko słowiańskie”.

Nie sposób jest wyliczać całe szeregi prac malarskich, zgromadzonych na obecnej wystawie, wymienić jednak trzeba, najbardziej typowe, które reprezentują daną okolicę kraju.

Więc bujne, kwitnące łany Ukrainy daje tu Wrzeszcz w swych „Zbożach” i „Polu maków” a obok smętne mgły poleskie z przenikliwą ich melancholią przedziwnie odtwarza Straszkie-wicz w swym „Poranku na Polesiu”, oraz Ziomek w podobnym motywie. Białoruskie moczary

z błądzącymi po nich łosiami daje nam w niezrównanych swych płótnach Weyssenhoff, perelkę twórczości tegoż artysty, „Zimę”, komitetowi udało się też pozyskać na obecną wystawę. Są tu i dwie prace Stanisławskiego „Wieczór” i „Wieś”; „Złotą jesień na Wołyniu” daje tu w swym obrazie Wywiórski. Inflanty Polskie i Litwę przedstawia z wielką poezją Stabrowski w swych nastrojowych pracach oraz Ruszczyk w typowym, malowniczym „Dworze litewskim”.

Wreszcie widzimy tu jeszcze jeden kraniec dawnych ziem polskich, Pomorze kaszubskie z jego piaszczystym wybrzeżem, ruchliwą, szemrzącą falą omywanem. Ten Brzeg Bałtyku odtwarzają z powodzeniem Piotrowski „Na półwyspie Helu”, Nałęcz w swym „Powrocie z polowu”, Cieślowski w „Wybrzeżu morskim”.

Piękno krajobrazu polskiego, który barwnie i nastrojowo reprezentują artyści-malarze, odbija się też i w bardzo obficie zgromadzonych zdjęciach fotograficznych, z których wiele do wyżyn sztuki śmiało dąży. Owem pośrednim ogniwem są tu tak zwane obrazy fotograficzne, w których wykonawcy idzie o wyraz i nastrój danego momentu za pomocą należyte wyzyskanego światłocienia. Poczucie artystyczne fotografa, umiejętność uchwycenia odpowiedniego momentu do zdjęcia—stanowi o wartości tych prac, w których, tak, jak w i malarstwie, podstawową nutę stanowić musi serdeczne umiłowanie własnej ziemi i jej krajobrazu.

W dziale „obrazów fotograficznych” prym trzymają świetne zdjęcia p. Bułhaka, z zapalem poświęcającego się fotografii i dochodzącego do wspaniałych rezultatów w tym kierunku. Do bardzo udatnych, acz mniej licznych, należą też zdjęcia dr. Grudzińskiego.

Prócz wyżej wspomnianych „obrazów” niezwykle bogaty materiał fotograficzny ułożony jest w działy specjalne, „wśród turni, regli i skał”, widzimy piękne zdjęcia widoków z Ojcowa, Pieskowej Skały, okolic Sandomierza; dalej seryje widoków „Z nad jezior, rzek i stawów”. „Nasze drogi i lasy poszczególne” „Drzewa pola, łąki, wsie, dwory, zamki, pałace, świątynie, miasta, ruiny zamków, grodziska i kurhany przesuwają się przed oczami zaciekawionego widza, który podziwiać musi różnorodność motywów w naszym kraju, o którym często słyszy się zdanie, iż niema tu nic do widzenia.

Osobny, a nader ciekawy dział stanowi szereg zdjęć, przedstawiających wpływ człowieka na krajobraz; widzimy więc „czem człowiek krajobraz zdobi i czemu go szpeci”. Zdjęcia te nadesłano przeważnie z Krakowa (Tow. Polska sztuka stosowana i Tow. ochrony piękności kraju). Szkoda wielka, iż nie ma tu uwiecznionych naszych warszawskich lub łódzkich „zabytków architektury”—te chyba trzymałyby prym w dziedzinie oszpecania krajobrazu.

Wystawa posiada również ciekawy dział naukowy, obejmujący rzeźbę geologiczną oraz ilustrujący wpływ wiatru i wody na roślinność.

Całości wystawy dopełniają wspaniałe fotografie na szkło, wykonane w zakładzie p. Szalaya, oraz liczne przezrocza i krajobrazy stereoskopowe.

Czynne i energiczne nasze Towarzystwo Krajoznawcze dzielnie wywiązało się z powziętego zadania — wystawa daje dużo wrażeń

podniosłych, zarówno estetycznych jak i pouczających i osiąga swój cel, którym jest rozbudzenie w jaknajszerszych masach zamiłowania do studyowania ojczystego naszego kraju. Celowi temu służy Tow. Krajoznawcze wytrwale i owocnie — prócz urządzenia wystawy świeżo wydało ono albumowe wydawnictwo „Z naszych krajobrazów”, obejmujące 32 malownicze widoki z różnych okolic naszego kraju, wybrane bardzo umiejętnie wśród zdjęć fotograficznych pp. Bulhaka, Ostaszewskiego, Thugutta, Kulwiecia, Wisznickiego i odbite nader starannie w zakładach graficznych Wierzbickiego; wydawnictwo to, ze względu na swą wartość estetyczną i krajoznawczą, powinno się znaleźć w każdym domu polskim, co ułatwia w wysokim stopniu nader niska jego cena.

To samo powiedzieć należy o pocztówkach, wydawanych przez Tow. Krajoznawcze, z których odznaczają się piękną niedawno puszczoną w obieg sery „Zamków polskich”, „Starej Warszawy” i „Krajobrazów polskich”. Zamiast przyczyniać się do rozpowszechniania zagranicznej tandety, popierajmy wydawnictwa swoje, piękne i szlachetną myślą opromienione.

Z. Skorobohata-Stankiewicz.

□□□□□□□□

Kobieta współczesna w literaturze francuskiej.

Ruch postępowy ewolucyjny, budzący się wśród kobiet wszystkich krajów, znalazł i w literaturze francuskiej ostatniej doby, wyraz swój i odbicie. Już Prevost, w szeregu powieści w „Pół-dziewicach” i „Dziewicach niezłomnych” („Les demie-vierges”, „Les vierges fortes”), przedstawił w satyryczno-pouczającej formie, wyniki wyzwającego się ducha kobiecego. A że powieści te, z talentem są kreślone i postacie tchną pozorną prawdą psychologiczną, sensację więc zrobiły i poczesne miejsce w literaturze europejskiej zajmują. Czytane i tłómaczone na wszystkie języki, stały się, w ręku konserwatywnych pedagogów, wygodnym straszakiem przeciw wszelkiej emancypacji kobiecej, pojętej jako zwyrodnienie instynktów i wypaczenie umysłu kobiecego.

Gdy ucichło nieco wrażenie wywołane rewelacjami Prevost’a o „Pół-dziewicach” — pojawiać się zaczęły, zawsze na temat feminizmu, powieści kilku uzdolnionych autorek, a mianowicie Marceli Tynaire i Colety Yver — powieści tej ostatniej zwłaszcza, śliczne w zarysie i przeprowadzeniu, etyczne i postępowe ze stanowiska oceny „praw kobiety” i zrozumienia jej ducha — niemniej, połowiczne w swej tendencji, załamują się lub rozbijają zupełnie o kardynalny akt kontraktu małżeńskiego. Z ową chwilą, kobieta powraca do swej bierniej roli zależności, i wchodzi znów w ciasną skorupkę swych matek i prababek, gwoździ nie tracenia łask i serca swego męża i pana. Kobieta zamężna poświęca swe ideały społeczne — bo inaczej być nie może harmonii i szczęścia małżeńskiego! Myśl ta przewodnia, wyraźnie odbija w utworach sympatycznej skądinąd i utalentowanej autorki: Uzdoniona więc i wymowna adwokatka („Les dames de palais”) rzuca swój umiłowany zawód w lat parę po ślubie, by nie zaćmiewać swym powo-

dzeniem męża — kolegę, którego zazdrość zawodowa pożera, czego następstwem grozi utrata jego miłości...

Bohaterka drugiej znów powieści („Princesses de sciences”) doktor medycyny — przynosząca ulgę ludzkości swą wiedzą i będąca na drodze cennych odkryć w dziedzinie swego fachu — z rozdartą duszą wycofuje się z praktyki, bo mąż, śmierć dziecka, gorąco przez nią kochanego, przypisuje jej zajęciom lekarskim, i czyniąc jej zarzut, iż opuszcza dla obowiązków, ognisko domowe — u stóp innej kobiety, haf-tującej biernie przy kominku, szuka szczęścia i pocieszenia...

Wreszcie trzeci typ — („Les cervelines”) to kobieta-profesor, wdzięczna i młodziutka, a już sławna wykładami swymi, której małżeństwo z drogim jej człowiekiem rozrywa się, wobec woli stanowczej pozostania wierną powołaniu swemu. Narzeczony przenieść tego nie może, choć właśnie na tych prelekcjach historycznych pokochał ją i ocenił. Rozchodzą się więc — ona z raną niezagojoną w duszy swej dumnej i czystej, lecz niezawisłej — on, by się wkrótce ożenić z ładną, bezmyślną papużką, która ma mu dać upragnione szczęście domowe!

Mimo tendencji zbyt jednostronnej, a może dlatego właśnie, utwory Colety Yver, szlachetne i podniosłe budzą uczucia, i jakiś odruch protestu podnoszą w duszy czytelnika — by niekoniecznie fatalistyczną ofiarą serca, stawać się zawsze miało ukochanie kobiecego umysłu, podeptane i brutalnie zepchnięte z piedestału przez egoizm męski.

Marcela Tynaire, łatwiej rozstrzygnęła kwestię feministyczną. Jej zagadnienia mniej zawikłane, nie wdając się bowiem w konflikta pracy zawodowej, żąda przede wszystkim równania moralności i równego poszanowania dla wolności, tak mężczyzny, jak kobiety — w miłości. Erotyzmem też i zmysłowością przepełnione są niektóre jej powieści („La douceur de vivre”), ale bohaterki jej wszystkie niemal, są kobiety rozumne i niezależne, wyższe od swego otoczenia, oddające się bez zastrzeżeń wybranemu, gdy serce przemówiło: („La rebelle”, „La rençon”, „Maison du péché”, „Ombre d’amour”).

Trudno też nie wspomnieć o piórze powszechnie znanej i cenionej autorki, Pierre de Coulevain, którą za koryfeuszkę sprawy kobiecej we Francji poniekąd uważać można. Umysłem pogodnym i filozoficznym obejmowała braki i małości wychowania swych rodaczek, starając się pogłębić ich poglądy społeczne i etykę życiową. („Au coeur de la vie”). Choć więc kwestii racjonalnego feminizmu nie porusza jeszcze, czując, iż do niego nie dorosły może, dąży jednak w powieściach swych do wyzwolenia kobiecego ducha, budząc go z powijaków wiekowego odrętwienia.

Wreszcie wśród nawału nowości francuskich, wyróżnia się jedna jeszcze książka Bernarda Barbery: „Les résignées”, której bohaterki, by niezawisłość umysłu i ducha utrzymać, albo za mąż wyjść nie mogą, albo rządząc się prawdą i nie kryjąc uczuć swych i czynów, zostają opuszczone i sponiewierane przez tych, którym zaufały.

Niezaprzeczenie też subtelnie kreślone są charaktery kobiece, w powieściach Guy Chan-

tepleure („Ames féminines”, „La passagère”). Ale są to wszystko idealne powoje i bluszcze, szukające podpory dębu, by egzystować mogły.

Jak widzimy, idea wyzwolenia kobiety, omawiana dość szczegółowo w literaturze francuskiej, mniej szerokie ogarnia horyzonta i sypbuje słabszym lotem niż w literaturze innych krajów, gdzie brzmi pobudką więcej żywiołową i bardziej skryzalizowaną w swych dążeniach. Jest to zapewne wskutek powierzchownego, choć kulturalnie wykwalifikowanego umysłu Francuzów, lub też z powodu, iż kobiety tamtejsze, nawet w dążeniu do niezależności, hołdują zbyt- nio jeszcze przywilejowi królowania nad mężczyznami „urokiem kobiecości” przedewszystkiem, któremu podporządkowują aspiracje ducha swego.

Teoretycznie — prawo do studyów wyższych i do pracy zawodowej o szerszym zakresie, posiada kobieta francuska, ale w praktyce życiowej i literaturze przeważa uświęcony obyczaj, zależności płci słabej od autorytetu męskiego, zbyt bezwzględny w swej zachłanności.

Wiadomo, iż tak w powieści, jak w życiu, dobrze wychowana Francuzka — naiwna i nieświadomiona przed ślubem, uprawia bez skrupułu buduarowy „flirt” w parę lat po ślubie, by nudę życiową zapełnić. A jednak mężowie, przekładają ów przysłowiowy „trójkąt” małżeński — wieczny temat wszystkich fars i operek paryskich, ponad racjonalną i użyteczną pracę żon, któreby je niechybnie, w znacznej mierze, przynajmniej, od owych upadków moralnych uchroniła.

E. Wielowieyska.

□□□□□□□□

Z TEATRU.

„OBŁĘŻENIE WARSZAWY” Ad. Bełcikowskiego, sztuka w 5-ciu aktach, w teatrze „Zjednoczonym”.

Jubileusz Pawła Owerły, w teatrze Wielkim „RYWALE” Sheridan, komedia w 5-ciu aktach, w teatrze „Rozmaitości”.

Nieżyjący już Adam Bełcikowski napisał szereg sztuk historycznych. Pisał je tak jak się pisze studia, artykuły i opowiadania, t. j. ze znajomością przedmiotu, ale bez tego talizmanu, co się popularnie zwie natchnieniem, talentem, duchem bożym. Sztuki też jego nie robią żadnego wrażenia na widza cokolwiek wyrobionego estetycznie. Ale stanowią one za to repertuar bardzo pożądany dla teatrów ludowych, których, niestety, zawiele u nas niema, bo tylko jeden — w Stowarzyszeniu Robotników, przy ulicy Kaliksta. Teatr Zjednoczony mógłby lukę tę wypełnić, i w tym zamiarze chyba wystawiono tam „bombę” taką, jak „Obłężenie Warszawy”, inaczej zwaną: „Przekupką Warszawską”, osnutą na tle obrony Warszawy przed Prusakami.

W teatrze Wielkim mieliśmy święto teatralne z powodu 25-letniego jubileuszu młodego jeszcze bardzo artysty, Pawła Owerły, który w 12-tym roku życia wstąpił na scenę.

Należy on do tych nielicznych artystów,

którzy całą swoją karierę zawdzięczają teatrowi Rozmaitości, którzy nigdy teatru tego nie zdradzili dla scen innych i nigdy poza Warszawą nie grali. Wytwarza to nie sympatyi pomiędzy miastem i artystą, to też publiczność dała bardzo serdeczny wyraz temu sentymentowi na premierze benefisowej „Rywali”.

Owerło jako aktor — zasługuje w zupełności na uznanie, nie będąc bowiem talentem wielkim, rozwinął znacznie zdolności swe i inteligencyę, a wrodzona mu intuicya artystyczna pozwala nabrać na swe baraki trudne nieraz bardzo role, wymagające dużego poczucia stylu i umiaru.

Taką też rolę miał w „Rywalach”, s. tuce nie najlepszej, toute proportion gardee, nawet na one czasy, gdy Sheridan bywał na swoich premierach.

Autor świetnej komedyi — „Szkoly Obmowy” granej w Warszawie lat parę temu, — w „Rywalach” nie dał żadnego silniejszego wyrazu swych aspiracyi artystycznych lub ideowych. Sheridan był bardzo dowcipny, mógł więc oprzeć wesołość sztuk swych na tej jedynie sile. Nie ma tam jednak ani komizmu sytuacyjnego, ani groteski typów, ani tej wytwórczości dyalogu, jaki jest w „Szkole obmowy”. Przytem fabuła słaba, niezręczna, nieusprawiedliwiona.

Dowiadujemy się, że w jesieni zacznie działalność nowy teatr pod nazwą — „Powszechny”, którego repertuarem będzie dramat i komedya. Kierownictwo literackie objął tam znany dramaturg, Bolesław Gorczyński, właścicielem zaś teatru jest p. Zenon Choroszczo.

Teatr ten mieścić się będzie w Alejach Jerozolimskich, gdzie obecnie funkcjonuje Scating-Rink. Gmach będzie odpowiednio przerobiony i będzie posiadał scenę obrotową.

Gustaw Olechowski.

□□□□□□□□

Ruch kobiecy w Chinach.

Mąż pani Ts'ieon-k'ing nie podzielał humanitarnych jej aspiracyi. I próżne były jej usiłowania w celu przekonania go o konieczności społecznej i moralnej reformy. W końcu pani Ts'ieon-k'ing wbrew przepisom prawa, opuściła dom męża i, powierzwszy dzieci opiece swej matki, udała się do Tokio w celu uzupełnienia braków swego wykształcenia.

Po powrocie do Chin wydawać zaczęła tygodnik dla kobiet „Nin-pao”, w którym żarliwie broniła sprawy kobiecej. Poczem raz jeszcze odwiedziła Japonię, lecz po śmierci swej matki powróciła do rodzinnego kraju, gdzie powierzono jej kierownictwo szkołą dla dziewcząt w Czaoking, w prowincyi Cze-kiang.

Nie poprzestając na wykładzie swoim uczniom nauk europejskich i moralności chińskiej, zorganizowała jeszcze wieczorne wykłady dla ludzi dorosłych, czem ściągnęła na siebie niełaskę konserwatystów-mandarynów.

Gdy naczelnik policyi Sin-Si-lin, potajemnie należący do pewnej partyi rewolucyjnej, zabił gubernatora w Ngan-honei, pani Ts'ieon-k'ing obwiniona została o utrzymywanie stosunków politycznych z zabójcą gubernatora, czego następstwem było skazanie jej na śmierć przez ścięcie.

Przed śmiercią prosiła sędziów o odszkodowanie 400 dolarów, skradzionych z jej sypialni przez żołnierzy prefekta, i rozdanie ich pomiędzy biednych ze stron jej rodzinnych. Błagała również, by pozwolono wejść jej na szafot w ubraniu, prawo bowiem kryminalne nakazywało przestępcom rozbierać się przed śmiercią.

Sąd w tym razie okazał się wspaniałomyślnym i uwzględnił ostatnią jej wolę.

Prawdziwą męczennicą ruchu kobiecego w Chinach była pani Won-Fang-lan, która pod wpływem idei postępowych zaniechała barbarzyńskiego zwyczaju krępowania nóg. Świekra, upatrując w postępowaniu synowej zamach na odwieczne chińskie zwyczaje i obyczaje, oraz widząc w tem upadek kobiety znakomitego rodu, wymierzała jej poczęła okropne kary cielesne. Młoda kobieta nie ustąpiła jednak, przekładając śmierć męczeńską — następstwo wyżej wymienionych kar cielesnych — nad powrót do ciemnoty swych współziomków.

Sam wice-król, Tonang-fang, zupełnie nie sprzyjający ruchowi kobiecemu, potępił postępowanie okrutnej kobiety i ofiarował rodzinie zmarłej w celu uczczenia jej pamięci, bogatą tablicę, z wrytym na niej alegorycznym napisem, sławiącym zalety zmarłej.

Nadto prefekt skazał świekrę zamęczoną kobiety na karę pieniężną, którą przeznaczono na założenie szkoły dla dziewcząt, znanej pod nazwą: *Fang-lan hio-tang*, to jest szkoły dla dziewcząt, założonej ku uczczeniu pamięci pani Fang-lan. Żona zaś i córki prefekta ułożyły panegiryk na cześć młodej reformatorki i, co więcej, zorganizowały stowarzyszenie kobiece, znane pod nazwą „stowarzyszenia nóg naturalnych”.

To dało początek liczniejszy z dniem każdym stowarzyszeniom kobiecym, które, pod pretekstem reakcyi przeciwko wszechwładnie panującej w Chinach modzie „małych nóg”, mają na celu całkowitą reformę ustroju rodzinnego.

W wielu miejscowościach młode dziewczęta, zebrane w swoich klubach, same nazywają się z dumą: „dziewczętami, posłusznymi swojej własnej woli”.

Składają one przysięgę, iż same wybiorą sobie męża i że nawet sprzeciwią się woli rodziców, gdy wymagać tego będzie osobiste ich szczęście.

(D. c. n.)

E. Ż.

Odezwa do wszystkich byłych i teraźniejszych uczennic pensyi p. Berlach.

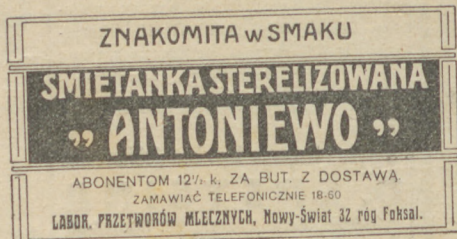
W kwietniu r. b. przypada 40-letnia rocznica założenia pensyi, obecnie przezemnie prowadzonej. Z tej okazji zwracam się z serdeczną prośbą do wszystkich dawniejszych i obecnych uczennic, którym ta szkoła choć cokolwiek z siebie dała, i które ją w życzliwej zachowują pamięci, aby zechciały uczcić dzień jubileuszu przez przyjęcie udziału w spełnieniu dobrego uczynku.

Oto niejedna z waszych kierowniczek, zmęczona pracą i wiekiem, pożąda wytchnienia, ale napróżno, gdyż troska o chleb powszedni zmusza ją do nieustannego trudu. W całej cywilizowanej Europie nauczycielki pracują tylko do pewnego, określonego wieku, poczem mają być zabezpieczone przez państwo. W naszym kraju tylko nauczycielki zakładów rządowych otrzymują emeryturę, nauczycielki zaś szkół prywatnych są zmuszone pracować, aż do końca życia, nieraz ponad siły. Niezmierznie mała ich ilość jest w możności odłożyć coś na starość. Wynagrodzenie bywa małe, a prawie każda ma jakieś obowiązki względem swojej rodziny. Jedna wychowuje młodsze rodzeństwo, druga pomaga bratu kończyć wyższy zakład naukowy, ta utrzymuje starą matkę, lub niezdolnego do pracy ojca, tamta — nawet oboje rodziców. Gdy tak prawie każdą życie obarcza dodatkowymi ciężarami, w jakiż sposób może zabezpieczyć swoją przyszłość? Nadchodzi starość, a z nią zanik energii, upadek sił. Czas spocząć... Jakże tęskni znużona pracownica za odpoczynkiem, spokojem, ciszą! Jakże chętnie dałaby wytchnąć swym starganym nerwom! Ale gdzie znaleźć ten spoczynek? Wszak w Łodzi, mieście półmilionowem, niema miejsca schronienia dla uginających się pod ciężarem długoletniego trudu kierowniczek umysłów młodocianych. — Więc trzeba dalej dźwigać ciężkie jarzmo! Smutny to los! A kiedy już wyczerpie się i ostatek sił, lub kiedy nieprzewidziany wypadek albo choroba przedwcześnie pozbawi możliwości do pracy — cóż wtedy? Przed nieszczęśliwą otwiera się złowroga, ponura pustka, nieoświetlona żadnym promykiem nadziei... Nie dziw zatem, że serce nauczycielki szarpie gnębiąca troska.

Lecz czy tak być musi, czy tak być powinno?

Oto dzięki usiłowaniom szlachetnych ludzi powstały w Łodzi w ciągu kilku ostatnich lat dziesiątków rozmaite instytucje dobroczynne: Kropla mleka, Gniazdo, Przytułek dla sierot, kilka ochronek, Zakład dla epileptyków, Przytułek noclegowy, Dom starców, Dom miłośierdzia, szpital Anny-Maryi, Zakład dla obłąkanych w Kochanówce, Pogotowie ratunkowe, T-wo opieki nad zwierzętami — i wiele innych. Zaopiekowano się prawie wszystkimi, tylko los niezdolnych do pracy nauczycielek nie został zabezpieczony.

Powiedzcie, czyż nie będzie słusznie, czyż nie sprawiedliwie, odpędzić nareszcie widmo smutnej przyszłości od tych, które wam tak wiele dały, gdyż kształciły wasze umysły i serca. Wy wszystkie, które poczuwacie się do wdzięczności choćby tylko względem jednej ze swych nauczycielek, połączcie ofiarne dłonie,





MŁCZKA MLECZNA „BÉBÉ”. PRZYGOTOWANA Z CZYSTEGO MŁĘKA ALPEJSKIEGO, JEST WYBORNYM, NIEDAJĄCYM SIĘ ZASTĄPIĆ PO KARMEM DLA SSAWCÓW I DZIECI.

Ostać można w Aptekach i Składach materiałów aptecznych.

SKŁAD GŁÓWNY

— Tow. Akc. „Fr. Karpiński w Warszawie” —
Elektoralna 35. Telef. 600.

a dźwigniecie wspólnymi siłami gmach wdzięczności serc szlachetnych — schronisko dla nauczycielek.

Ofiarowane na powyższy cel, choćby najmniejsze datki, przyjmowane będą pod adresem: Łódź, ulica Ewangelicka № 9, za odpowiednimi kwitami i wręczane tymczasowo Łódzkiemu T-wu Dobroczynności. Co tydzień podawana będzie w pismach lista łaskawych ofiarodawców.

Lidia Berlachówna.



Polityka daleka i bliska.

Świat żyje dziś liczbą wrażeń. W jednym prawie tygodniu zachodzą fakty ogromne, znamienne, o wadze niesłychanej, a faktów tych tłoczy się niemożliwa ilość.

Wielki strajk w kopalniach węgla ogarnął całą Anglię. Zapowiadany oddawna, organizowany — ma on swe fundusze, ma plan i porzą-

dek. Do ekscesów nie doszło — układy w toku — rząd pośredniczy między górnikami a właścicielami kopalni. Sztafaż tej sprawy jest istotnie gigantyczny. To już nie zrzeszenie zawodowe, nie jakaś kwestya ekonomiczna, to milion narodu — olbrzym idzie spokojnie lecz z siłą — to już o zmienienie praw chodzi.

I prawdopodobnie na tej tylko drodze uda się uregulować tę wielką sprawę — prawo o minimalnej płacy górników powinien uchwalić angielski parlament.

Tymczasem strajk odbił się ogromnym echem w Niemczech, zwłaszcza w Westalii. W sprawie tej naturalnie występują tam i polscy robotnicy.

Dn. 14 b. m. malarz Antoni Dalba strzelił dwukrotnie z rewolweru do jadącej w powozie królewskiej pary włoskiej. Wiktor Emanuel z żoną jechali na nabożeństwo za duszę ojca, króla Humberta. Strzały nie dotknęły króla ani królowej — ranny, aczkolwiek nie śmiertelny, adiutant króla, major Langh.

Zabójca twierdzi, że jest anarchista-terorystą, lecz jest to rzecz dość wątpliwa, aby jakkolwiek ideowy podkład był przyczyną zamachu. Ludność witała ocalonego monarchę owacyjnie.

Ze spraw bliższych — zanotować wypada obrady w Dumie nad budżetem, samorządem i sprawą chełmską. Wogóle Duma pracuje — ostatnią parą. W obradach nad Chełmszczyzną odrzucono 70 poprawek koła polskiego bez głosowania! Art. 10 przyjęto w ostatecznej redakcji

w następującem brzmieniu: „Nowo utworzoną gubernię Chełmską wydzielić z zarządu jeneral-gubernatora warszawskiego i uczynić podlegającą ministrowi spraw wewnętrznych.

N. J.

□□□□□□□□

Drobiazgi.

Il u mieszkańców liczy Wilno? Podług ostatnich wiadomości stary gród Gedyminowy liczył w dniu 14 stycznia r. b. 217.000 głów ludności, w tem: katolików 97,760, prawosławnych 8,842, żydów 101, 238, reszta przypada na właścicieli innych wyznań. Ta sama statystyka urzędowa wykazuje Polaków w Wilnie 81,638 osób. Jest to jednak liczba dowolnie zmniejszona, gdyż Litwinów katolików Wilno liczy tylko 2,000 podług ich własnego samoobliczenia się w r. z. Przedstawiciele innych narodowości jest w Wilnie może kilkadziesiąt osób, ale za to jest tu paręset osób kalwinów, Polaków wyznania prawosławnego i luterńskiego, tak iż trzeba liczyć w Wilnie Polaków więcej niż 81 i pół tysiąca osób.

Rzadki Jubileusz.

Wszczęświatowa fabryka fortepianów C. Bechsteina obchodziła 1 marca jubileusz wypuszczenia w świat stutysięcznego instrumentu. Fabryka znajduje się pod kierownictwem braci Edwina i Karola Bechsteinów. Przeszło od pół wieku instrumenty C. Bechstein królują niepodzielnie na estradzie.

Treść numeru:

O Nowe Siły, przez N. Jastrzębską. — Cień, przez W. Gomulickiego. — Koleżanka Stefa, przez C. Walewską. — Zawrotne drogi, przez T. Konczyńskiego. — Z bieżących wystaw, przez Z. Skorobohatą-Stankiewiczównę. — Kobieta współczesna w literaturze francuskiej, przez E. Wielowieyską. — Z teatru, przez G. Olechowskiego. — Ruch kobiecy w Chinach, przez E. Ż. — Odezwa do wszystkich byłych i teraźniejszych uczennic pencyi p. Berlach, przez L. Berlachównę. — Polityka daleka i bliska, przez N. J. — Drobiazgi.

Do niniejszego numeru dołącza się:

- 1) Dodatek gospodarski.
- 2) Dodatek mód.
- 3) Dodatek powieściowy „Rebeka ze słonecznego potoku” ark. 10.

Cherchez la Femme

najnowszą perfumę o nadzwyczaj subtelnym, prześlicznym, długotrwałym zapachu i taką samą **Wodę kwiatową**

poleca Parfumerie „La Régente” Paris—Jicin.

Otrzymać można w lepszych składach aptecznych, perfumerjach i zakładach fryzjerskich.

Skład Główny i Przedstawiciel na Królestwo i Cesarstwo W. Dobrowolski Warszawa Chmielna 36 telefon 110-73.

TABLETKI KEFIROWE

do wyrobu domowego KEFIRU wyrabiane w Aptece i Fabryce Tabletek, Modlińskiego i Lilpopa dostać można w Warszawie, w Aptekach i Składach Aptecznych.

Sarga

KALODONT

Niezbędny

Krem i Elikzir do Zębów

Przy użyciu zęby pozostają czyste, białe i zdrowe.



F. Trojanowski

FRYZJER Bielańska № 8

wejście od Daniłowiczowskiej. Salony dla Pań i Panów. Wroby z włosów. Dewiza firmy punktualność i skuratność w wykończeniu perfumerja krajowa zagraniczna.

Fabryka i Magazyn Wrobów Jubilerskich

D. EPSTEINA

Warszawa, Marszałkowska 98. Tel. 167-66

Piękna biżuterja — pierwszorzędne zegarki szwajcarskie. Obstalunki reperacje, złocenie, srebrzenie. Kupno złota, srebra i drogich kamieni.



Najlepsze mydła udelikatniające skórę są

Mydła hyg. przetłuszczone

wyrobu Apteki M. MALINOWSKIEGO

Nowy-Swiat 35, w Warszawie.

NAJLEPSZA IMITACYA W ŚWIECIE

— W SZCZERO ZŁOTEJ I SREBRNEJ OPRAWIE —

Magasin Français

G. BARGOIN

Varsovie,

RUE NOWY-ŚWIAT № 45. Telephon № 72-80.